

82  
K-12982

## Eliza Orzeszkowa.

Ze wspomnień osobistych.

Pani A. Zahorska, pisząc w n-rze lipcowym *Przeglądu Powszechnego* o Rodziewiczównie, zestawiła ją z Orzeszkową i o tej ostatniej wypowiedziała zdanie o jej stosunku do religji, zgodne może z popularnem mniemaniem, lecz krzywdzące nieco Orzeszkową. Zaszczycony bliższą z nią znajomością przez ostatnie 13 lat jej życia, poczytuję sobie za obowiązek sprostować te mniemania na podstawie własnoręcznych listów Orzeszkowej. Drukowane one były po jej śmierci w *Mysli Katolickiej* w 1910 r., następnie wyszły w osobnej odbitce; niestety, zdaje się, mało są znane szerszej publiczności i dlatego uważamy za pożyteczną rzecz przypomnieć je jeszcze raz.

Nieszczęściem było Orzeszkowej, że obóz pozytywistyczny uważał ją za swego chorążego, i marka ta u wielu ciąży na jej pamięci, ale czy słusznie na nią zasłużyła? — Charakterystyczną cechą warszawskiego pozytywizmu był rozbrat z wiarą, poezją romantyczną i naszą tradycją narodową. Przeciw tym dwóm słupom ognistym, wskazującym drogę narodowi, nigdy nie występowała, nawet wówczas, kiedy jej wierzenia religijne dopiero się wyrabiały i kiedy, akcentując postulaty etyki chrześcijańskiej, jeszcze nie czuła się katoliczką i wyznała to otwarcie w liście, który pisała do mnie 16. V. 1895 r., odpierając zarzut antyklerykalizmu, tak się wyraża:

Ani zasady moje, ani charakter nie usposabiają mnie do uczuć odrazy i trwałej urazy. Względem jednostek ludzkich nawet, tem bardziej względem całych grup społecznych, tem bardziej

względem grupy, przedstawiającej wiarę religijną, na której łonie się urodziłam, którą naród mój wyznaje.

W jednej ze swych powieści p. t. „Cnotliwi” przedstawiła Orzeszkowa w karykaturalnej formie fałszywą dewotkę pod imieniem Antyfony. Na uwagę, zrobioną jej przeze mnie, że, przedstawiając jedynie ujemny typ pobożności, rzuca niejako cień i potępienie na pobożność wogóle, odpowiedziała Orzeszkowa z całą prostotą i szczerością w tymże samym liście (z dn. 16. V. 1895 r.):

Co do Antyfony, jest ona, zarówno jak wiele ustępów z moich powieści, nowszych szczególnie, kolosalnym błędem artystycznym. Cała powieść, w której się znajduje ta postać, jest wielkim grzechem przeciw sztuce. — Byłabym ją i parę innych wykreśliła ze zbiorowego wydania pism moich, gdyby mnie nie przekonano, że nie bez pożytku dla krytyki literackiej jest widok całkowity drogi, którą postępowala mniejsza, lub większa, lecz zawsze pewna zdolność pisarska.

Pisałam „Cnotliwych” przed 27 laty, z pojęciami pod każdym względem niesformowanymi. W postaci „Antyfony” chciałam przedstawić pobożność obłudną i fałszywą, bo wszak pobożność może być szczerą i prawdziwą, i fałszywą oraz obłudną, a właściwie nie przedstawiłam nic, tylko zrobiłam na papierze wielką plamę atramentu. — Sz. Ks. Profesor ma słuszność najzupełniejszą. „Antyfony” jest niemożliwą, jak i cała powieść ją zawierająca.

A nieco dalej, w tymże samym liście, pozwala zajrzeć głębiej do swego stosunku z Bogiem, pisząc:

Dlaczego moje postacie powieściowe nie modlą się nigdy? Owszem, Sz. Ks. Prof., modlą się niektóre; te, które z usposobień swoich czynić to mogą. Czasem tylko w sposób niezupełnie machinalny i rutyniczny, ale modlą się tak, jak modłę się ja sama — z serca, z myśli, z natchnienia, nie z pamięci; niekiedy nawet i z pamięci, ilekroć przyniesie ona, nie do warg, lecz do serca wezbranego słowa gorące, pokorne i wzniosłe.

Powyższe wyznanie będzie chyba dostatecznym dowodem, że między poglądami Rodziewiczówny, a tej modlącej się pozytywistki tak wielkiej rozbieżności niema. I jedna i druga, kochając swój kraj rodzinny, pracowały gorliwie nad podniesieniem jego ducha, a tem samem i dobrobytu kraju. Obie nawoływały do trzymania się ziemi, wytrwałości, a nawet u Orzeszkowej ta nuta silniej jest akcentowana.

Wielką jej zasługą pozostanie, że pierwsza zwróciła uwagę na możliwość i konieczność zbliżenia się zaścianka do dworu z jednej, a do chaty z drugiej strony („Nad Niemnem“, „Bene Nati“). Ona pierwsza sięgnęła głębiej w duszę chłopca białoruskiego, przedstawiając go w całej jego realistycznej prawdzie, a jednak sympatycznie i pociągająco. Jako przykład służyć będą: „Niziny“, „Zimowy Wieczór“, „Dziurdziowie“, a przede wszystkim „Cham“.

Czytając tę ostatnią powieść, odniosłem wrażenie, że mam przed sobą biografię świętego w sukmanie i zgrzebnej koszuli. Zewnętrznie — postać ta nie jest ani odrobinę idealizowana, lecz bije z duszy analfabety tego tak silny strumień wiary, opromieniającej wszystko dokoła, wszelkie jego czynności, wobec której duch człowieka korzyć się musi. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że studjum psychologiczne nad „Chamem“, do którego się Orzeszkowa zabrała, wpłynęło również na nią samą i ożywiło drzemiące jeszcze na dnie jej duszy, aczkolwiek niezupełnie uświadomione, podstawy wiary, do której, w owej epoce życia, już się skłaniała. Napotkanie takiego typu w życiu (boć go przecie z głowy wysnuć nie mogła), poczytuję za wyraźną łaskę Boga, który tę błakającą się jeszcze, ale bardzo szlachetną duszę do siebie pociągnąć pragnął.

Drugim wytycznym dogmatem warszawskiego pozytywizmu był przesadny kult wiedzy, która oczywiście miała zastąpić etykę i religię. Orzeszkowa jednak daleką była od takiego bezwzględного kultu. Oto znowu jej słowa:

Czy stawię wyżej cnotę nad wiedzę? — Tak; stawię wiedzę wysoko, jako służebnicę cnoty. Jest ona także służebnicą ciała i spełnia wtedy czynność cenną, ale niższą, użyteczności materialnej. Może być jeszcze służebnicą złych instynktów i namiętności ludzkich, kiedy wytwarza źródła wyrafinowanych uciech zmysłowych, albo sposoby jak najskuteczniejszych mordów pomiędzy ludzkich. Wówczas należy ubolewać nad ułomnością i ograniczonością ludzką, które pierwiastki niebieskie pogrążają w kałużach ziemskich.

W kilka lat później, w artykule „O emigracji zdolności“, polemizując z prof. Lutosławskim, który bronił tych, co nie znajdując w kraju sfery odpowiedniej swoim zdolnościom jadą zagranicę dla zdobycia sławy i pieniędzy, a któ-

rych ona argonautami nazywa, wskazuje na wielką krzywdę, jaką oni wyrządzają swemu krajowi, ogołacając go z najlepszych jego pracowników. Służba poza granicami państwa nie wynagrodzi, zwłaszcza u nas, tego ubytku. Oto jej słowa w tej kwestji:

Bo nie należy sobie wyobrażać, aby jedyną racją bytu na ziemi jednostek zdolnych stanowiło budowanie mostów, ulepszenie kultury lasów, pisanie książek, wymyślanie nowych maszyn i t. p. Wszystko to jest potrzebne, nawet bardzo, lecz przedstawia tylko część zadania jednostki zdolnej, część jej pożyteczności i wartości społecznej. Pozostaje duża reszta, mieszcząca się w sferze duchowej, w tej sferze, której zmierzyć, zważyć, zliczyć niepodobna, która przecież jest i na sferę miar, wag, cyfr znakomite wpływy wywiera! — Określić to można słowami: dobry ulepsza, światły oświeca, mężny skrzepia, skrzydlaty unosi w górę! Ani wymienić, ani przeliczyć niepodobna wzajemnych na siebie oddziaływań jednostek zdolnych i „najzdolniejszych“ na mniej zdolne. Są one widzialne i niewidzialne, umyślne i nieumyślne. Widzialne i umyślne leżą na wierzchu. Trzeba wziąć tylko katechizm i przeczytać siedem uczynków miłosiernych co do ciała i siedem co do duszy, aby dowiedzieć się, co oprócz budowania mostów, podnoszenia kultury, leczenia chorych, bronienia spraw sądowych i wszelkiej, słowem, pracy fachowej, zdolni i najzdolniejsi w swem społeczeństwie czynić mogą... ..Tu nasuwa się potrzeba mówienia o tchórzostwie tych, którzy „w dusznej atmosferze“ tkwią, i o bohaterstwie tych, którzy w niej tylko swoich najbliższych bliźnich pozostawiają. Z tą klasyfikacją bardzo dziwną nie po raz pierwszy się spotykam, bo już w recenzjach jednej z powieści moich wyczytywałam, że Australczyk mój, który wyrzekł się w bardzo odległym mieście urzędu prokuratorskiego, a osiadł w małym miasteczku rodzinnem jako obrońca sądowy, złożył przez to dowody „tchórzostwa“, małoduszności. Najzarliwszy nawet zwolennik urzędów sądowych nie wpadłby pewnie na myśl, że prokurator i bohater to jednoznaczniki; ani też najzaciętszy wróg chrześcijaństwa nie posunąłby się aż do twierdzenia, że „nieumiejętnych nauczać, smutnych pocieszać, wąpiącym dobrze radzić i t. p.“, a w dodatku, dla możności czynienia tego w „dusznej atmosferze“ i wśród „okoliczności“ nieprzyjemnych osiadać, znaczy to samo, co być małodusznym tchórzem.

W „Australczyku“ właśnie, wcielając wszystkie te poglądy, z natchnienia, gorącemi farbami, odmalowała Orzeszkowa nabożeństwo w wiejskim kościółku, rozbrzmiewającym chóralnym śpiewem ludu, ponad którym Ukrzyżowany Chrystus z ołtarza wyciągał błogosławiące ramiona.

Ta sama religijna struna drga w „Gloria Victis“ i innych drobniejszych utworach, jak: „Z różnych dróg“, „Anastazja“. Ale najmocniejszy dowód tego, że autorka szczerze do wiary wróciła, znajdujemy w jej powieści „Ad Astra“. Jest to coś w rodzaju „Wieczorów nad Lemanem“ — dialog filozoficzno-religijny, jaki Orzeszkowa prowadziła z jednym z profesorów Uniwersytetu Krakowskiego, stojącym na gruncie naukowego sceptycyzmu, a pisującym pod pseudonimem Juljusza Rowskiego. W tym dialogu broniła Orzeszkowa wiary, wykazując raz jeszcze wyższość walorów etyczno-społecznych dla szczęścia ludzkości. W liście z dn. 22 marca 1900 r. tak autorka powiada o tej powieści:

Piszę obecnie rzecz dużą, niezupełnie powieść, coś z formą trochę nową, z oryginalnem tłem puszczny białowieskiej, którą poznałam bardzo zbliska. Idzie to powoli, bo doświadczam częstych omdlewań i osłabnień ducha, wątpliwości o sobie i o tem, co czynię, których często przez szereg dni rozstrzygnąć nie mogę. Potem znowu przybywa nawał myśli, obrazów — przekonanie, że jakkolwiek daleka od doskonałości, od ideału sztuki, pisać powinnam, bo Bóg mi to dał, na tę drogę mię skierował: więc wracam do pracy i mam trochę dni szczęśliwych, przeżywanych pośród natury przepysznej, którą malować piórem usiłuję i idei, które czczie i opiewać się staram słowem najpiękniejszym, na jakie zdobyć się mogę.

Nazywać się to będzie: „Ad Astra“ i nie powieść, tylko Dwugłos — rozmowa dwóch dusz, jednostajnie bogatych i silnych, lecz pod wpływami zupełnie odmiennymi, odrębnie ukształtowanych. On — uczony, krytyk i analista, zmaterjalizowany i zrozpaczony. Ona — poetka, idealistka, głęboko smutna smutkami świata, lecz z opornością natur wiernych i kochających, dążąca do gwiazd wielkich idei, ku którym i jego pociąga.

Gwiazdami temi są: Bóg, ojczyzna, dobro moralne, miłość czysta, z przewagą pierwiastka duchowego.

Jako przykład, jak głęboko i subtelnie Orzeszkowa fraktowała wiarę, posłużyć może następujący urywek z listu:

Zajmują mię teraz ogromnie kwestje natury moralnej, dotyczące wewnętrznego udoskonalenia się, że śmiem tak się wyrazić, uświęcenia się człowieka.

Jednej z nich nie mogę sobie rozstrzygnąć, a pragnęłabym bardzo mieć ją rozstrzygniętą w duchu nauki chrześcijańskiej. Czy nie będzie z mej strony zuchwalstwem zbyt czem, jeżeli przedstawię ją Sz. Ks. Profesorowi i — jako bliskiego źródła — poproszę o sąd i zdanie?

Rzecz w tem. Jednym z przepisów chrześcijańskich, które najwyżej cześć i które mi najsilniej przemawiają do serca, jest **przebaczenie**. Nic sprawiedliwszego i wznioślejszego nie może być nad te słowa: „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy... Sprawiedliwszego — bo któż bez winy; wznioślejszego — bo szczytem tej wędrówki, którą, ku ulepszeniu się, odbywają serca ludzkie, byłoby złożenie wszystkich ich krwawych krzywd i łez u stóp jednego Ojca, w ofierze odkupienia wszystkich dzieci. Ale jest tu pewna subtelność, której sama przeniknąć nie może. Czynię przypuszczenie, że człowiek jakiś poniósł od innego człowieka krzywdy wielkie, doświadczył przez niego cierpień ciężkich i następnie, postawiony w okolicznościach odpowiednich, nie tylko przebaczył krzywdzicielowi swemu, ale stał się jego dobroczyńcą, uczynił na jego korzyść wszystko, co mógł uczynić, przybrał go za brata, otoczył czułością i opieką, odgraniczył od wszelkich bied, trosk i t. p. Przypuśćmy, że o stosunku tych dwóch ludzi nikt w świecie nie wie i że skrzywdzony przebaczył w najrozciąglejszem tego słowa znaczeniu, wprost i tylko dlatego, że tak rozkazał czynić Bóg, że sam nie czuje się bez win innostronnych, że spełnia przez to akt pokory i dobra moralnego. Przypuśćmy dalej, że, uczyniwszy wszystko, co powyżej, a raczej czyniąc to ciągle, codziennie, nie może pozbyć się pamięci tego, co było i niejakej antypatji dla swego byłego wroga. Pamięć ta i antypatja nie ujawniają się w niczem, a niczem, ale istnieją w najgłębszem wnętrzu, zaprawiając stosunek jego z owym drugim człowiekiem pierwiastkiem fajonej, wewnętrznej przykrości, walki, potrzeby zadawania sobie przymusu.

I tu właśnie zapytanie? Czy takie przebaczenie jest doskonałem i do dna chrześcijańskiem? Bo przecież powinniśmy miłować nieprzyjacioly nasze, i czystość wymagana jest nie tylko w czynach, ale i w sercu, najbardziej w sercu. A czyliż można nazwać zupełnie czystem serce, które drga jeszcze wspomnieniami uraz, poniewolnym wstrętem do tego, kto je wyrządził?

Z drugiej przecież strony, gdyby te wspomnienia i ten wstręt nie istniały, stosunek, wynikiły z przebaczenia, utraciłby pierwiastek bólu, przykrości, które człowiek przebaczący tłumi w sobie, zamyka, ukrywa, do słów i czynów nie dopuszczając nic, prócz słodyczy i miłości. Więc może w samej tej walce i hamowaniu się jest zasługa?

Słowem, co jest wyższem i świętszem: czy, przebaczywszy i czyniąc dobrze nieprzyjacielowi, pokochać go nawet w najskrytszej głębi serca, czy też z głębi tej pewnego drgania wstrętu wyrzucić nie mogąc hamować je z walką i czynić miłość z cierpieniem?

Doprawdy, czuję wielkość zuchwalstwa swego, gdy obarczam Szan. Ks. Profesora temi, przesubtelnionemi może zagadnieniami, które mi w duchu powstają i, nie dając pokoju, wołają o rozwią-

zanie. Jednak ufam, że mi to za złe wzięte nie będzie, ze względu na intencję i na to także, że o sprawach, tej podobnych, z tak nieskończone małą ilością ludzi mówić można: nikt się nimi nie zajmuje, a dla większości są wprost śmieszne. Dla mnie jednak posiadają wagę pierwszorzędną, nawet najwyższą. To też jestem w myślach swoich i sumieniu swoim bardzo samotną.

Po śmierci męża swego drugiego, odpowiadając na słowa kondolencji z mojej strony, odsłoniła znowu głębi swej katolickiej duszy:

...Przebywam teraz porę życia osobiście najniezwyklejszą. Przed trzema laty straciłam człowieka, którego przez całe życie kochałam i który był mi na ziemi jedynym opiekunem i przyjacielem prawdziwym. Jestem zupełnie sama pod okiem i strażą tylko Boga. Ale to bardzo wiele, tak wiele, że przez posłuszeństwo woli Jego żyję. Bez tego — pocóżby? Ale to znaczy — wszystko.

Ponieważ Bóg nie zabiera mnie stąd jeszcze, więc nie wolno mi sprzeciwiać się woli Jego i przestać żyć, a ponieważ żyję, więc zapewne dlatego, aby jeszcze pracować. Pracuję, ile mogę. Niewiele mogę, bo siły fizycznej często nie staję. Mam też uczucie człowieka, któremu by rozkazano iść przez kamienistą pustynię i na kamienie rzucać kwiaty. Ponieważ rozkazano, więc idę i całym jeszcze gorącym pragnieniem moim jest wydobyć z serca jakie takie kwiaty. Jeżeli marnie zwiędną na kamieniach, które w dodatku rękę nie sparzą chłodem, lub okaleczą ostrem narożem, w tem nie moja moc. Co trzeba, to trzeba, i tak długo, jak trzeba.

Kończąc to wspomnienie, muszę tu dodać dla tych, którzy dotychczas w głęboką przemianę poglądów religijnych Orzeszkowej nie wierzą, że zmarła po katolicku i sprowadziła z Wilna ks. Stanisława Miłkowskiego, dawnego swego spowiednika, który ją na drogę wieczności dysponował.

*Ks. W. Czeczoff.*